

ROZDZIAŁ II

– Znowu nic nie zjadłaś. Nie pomagasz mi Alice... – spojrzała w moje oczy jakby nie rozumiała ani jednego ze słów.

Zabrałam z małego stoliczka twardniejącą już bułkę, która stała tam dobre trzy, może cztery godziny. Wiedziałam, że jej nie ruszy, jednak czasem człowiek żyje nadziejami i nieustającą wiarą. Pomaga to przeżyć kolejne dni.

– Nie spałam dziś zbyt dobrze, jak co noc. Jednak dziś było wyjątkowo źle – rzekłam. – Ktoś chyba urządził małą imprezkę w lesie. Słyszałaś coś?

Alice nawet nie kiwnęła głową. W ciągu całego dnia wypowiadała zaledwie dwadzieścia słów. Tak, nie, może... – i tak w kółko. Mimo to nie poddawałam się i mówiłam do niej godzinami. Opowiadałam o pogodzie, o tym, co dzieje się za oknem, o jej kwiatach w ogrodzie. I czekałam. Cierpliwie czekałam na jakiś znak. Jakikolwiek. Że żyje, że mnie słyszy, że nadal bije jej serce...

– Dziś pani Kollins pytała o ciebie. Ma nowe materiały. Podobno czekała pół roku, aż przyjadą z samego

Paryża. Specjalnie dla ciebie zamówiła błękitne. Jesteś jej stałą klientką, już nie może się doczekać aż usiądzie przy maszynie do szycia i ruszy z nowym projektem sukienek dla ciebie. Natomiast pan Stevenson zamyka sklep. Ktoś zobaczył wewnątrz szczura, zadzwonił do odpowiednich służb i tak zaczął się koszmar. Nie dawali Stevensonowi spokoju. Czepiali się o wszystko, nawet nieumyty kubek w zlewie był idealnym pretekstem do zniszczenia dobytku. Nie wytrzymał tego i zdecydował się na likwidację interesu. Ma z żoną oszczędności, podobno planują wyjechać z miasta. Pewnie w takiej sytuacji też bym wyjechała. Sama wiesz, jacy ludzie tutaj mieszkają. Jak tylko się komuś noga powinie, nie przestaną plotkować i zatruwać mu życia.

Spojrzałam na Alice, która wpatrywała się w duże okno balkonowe. Czasem zastanawiałam się, czy ona jeszcze jest tą samą Alice. Czy to depresja na moment ją otumaniała czy naprawdę jest aż tak źle? Ale nie dawałam za wygraną. Tydzień temu wezwałam lekarza, bo wydawało mi się, że moja bratowa jest w śpiączce. Spała całą noc, o dwunastej w południe następnego dnia próbowałam ją obudzić, lecz bezskutecznie. Zaczęłam ją szarpać i krzyczeć, jakbym próbowała wyrwać ją z objęć śmierci. Ona nadal nie dawała znaku życia. Doktor Shubert – przyjaciel moich rodziców i jeden z najlepszych lekarzy w okolicy – zjawił się w zaledwie kilka chwil po odebraniu telefonu ode mnie. Kazał mi wyjść z pokoju, zostawić ich samych. Czterdzieści minut siedziałam pod zamkniętymi drzwiami i czekałam na wyrok. Prosiłam los, aby mi jej nie zabierał.

Samobójstwo? – pomyślałam. Od śmierci Daniela byłam przy Alice dwadzieścia cztery godziny na dobę, z przerwami na zakupy i na sen. Czy coś przeoczyłam? Zbyt mocno spałam i nic nie słyszałam? – zadręczałam się pytaniami. Rzuciłam pracę, wynajmowałam moje niewielkie mieszkanie, aby cały czas być przy niej. Z pieniędzy z wynajmu opłacałam kredyt, a żyłyśmy z tego, co Daniel pozostawił na kontach bankowych. Liczyłam się z tym, że oszczędności kiedyś się skończą, ale żyłam nadzieją, że moja bratowa wyjdzie ze swej skorupy i wszystko wróci do normy – o ile słowo „norma” ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

– Z Alice już jest wszystko dobrze. Proszę się nie martwić – powiedział doktor po wyjściu z pokoju.

– Dlaczego nie mogłam jej dobudzić? – zapytałam.

– Alice jest wyczerpana psychicznie. Potrzebuje czasu, bardzo dużo czasu.

– Ona nic nie je, nie pije. Boję się, że ją stracę.

– Ta sytuacja jest trudna. Ale ona musi poradzić sobie sama. Proszę zwyczajnie przy niej być, żeby czuła, że ktoś przy niej czuwa, że jest ważna. Proszę do mnie dzwonić i informować na bieżąco, a gdyby działo się coś niepokojącego, będę jak najszybciej się da. Porozmawialiśmy trochę, miejmy nadzieję, że niebawem wszystko wróci do normy.

– Rozmawialiście? Jak to? Alice nie mówi mi nic, cały czas milczy.

– Tak, Alice powiedziała mi o tym. Ona nie jest gotowa na rozmowę z tobą. Za bardzo przypominasz jej Daniela. Rysy twarzy, chód, głos, oczy... Żałoba objawia się różnie, ale zawsze towarzyszy śmierci. Cierpi nie tylko

dusza, ale i ciało. Mózg człowieka jest jedną z największych tajemnic ludzkości. Nie próbuj robić nic na siłę, nic nie zmienisz. Najwięksi myśliciele, lekarze i filozofowie próbowali.

– Więc co mam robić?

– Czekaj...

I tak czekam do dziś. Minął już tydzień od wizyty doktora Shuberta i dwa miesiące od śmierci Daniela. I będę czekała do końca świata. Lecz co, jeśli świat skończy się za szybko?

Zawsze lubiłam ten fotel. Wykonany z najlepszej jakości wikliny w odcieniach szarości. Wieczorami Daniel, po całym dniu pracy, siadał w nim wygodnie, brał małego Simona na kolana i rozmawiali o sprawach błahych dla ojca, lecz priorytetowych w oczach dziecka. Że ptaszki wydziobały już całe ziarno z karmnika, że Lucky wykopała małymi łapkami wielką dziurę przy płocie, że zginął klocek, który wśród miliona innych klocków okazał się być tym najważniejszym i zakończenie budowy jest niemożliwe. Alice w tym czasie kładła się na sofie, okrywała kocem i patrzyła na nich jak na największy skarb. Czasem powiedziała coś od siebie, ale z reguły pozwalała im nacieszyć się sobą. Kiedy teraz patrzyłam na ten fotel, przeszywał mnie ogromny ból. Nie umiałam bez emocji wspominać tego obrazu, który został zburzony przez koleje losu, niefart, pech. Usiadłam w fotelu Daniela, mimo że nigdy wcześniej tego nie robiłam, bo nie miałam odwagi. Nie wiem, czy bardziej uciekałam od wspomnień, czy czułam się niegodna, aby tam siedzieć. Jednak pomyślałam, że pora

poszukać sposobów na ukojenie bólu, przyzwyczajenie się do sytuacji, akceptację i przede wszystkim pogodzenie się ze stratą. Z tych wszystkich rzeczy nic nie wychodziło mi dobrze. Przez moment było lepiej, jednak po kilkunastu minutach wszystko wracało jak bumerang, tylko ze zdwojoną siłą, z jeszcze większym napięciem. Czy to miała być kara za chęć zapomnienia? Tak samo czułam się podczas porannej pobudki. W nocy, kiedy spałam, byłam wyczyszczona z emocji. Pierwsza chwila po przebudzeniu była jak początek nowego życia. I nagle myśl, łączenie wątków, składanie faktów – to nadal się dzieje...

Dziś nie było inaczej. Słońce już dawno zaszło, przez wielkie szyby widziałam tylko zarys leśnego wzgórza. Rozpaliłam w kominku, to lato było wyjątkowo zimne i deszczowe. Wsłuchując się w pisk rozgrzanego ogniem drewna, wyłączałam swoje myśli. Jakie to cudowne uczucie, nie mieć myśli...

– Mia! Mia! – usłyszałam krzyk dochodzący z pokoju Alice. Zerwałam się z fotela i szybko pobiegłam w jego stronę. Kiedy otworzyłam drzwi, Alice klęczała na łóżku.

– Co się stało? – podeszłam bliżej. Odchyliłam włosy ze spoconego czoła i poczułam, że drzę.

– On tu był. Przez chwilę, ale był! – krzyknęła.

– Kto był? Tutaj nikogo nie ma.

– Był, Mia. Nie widziałam go, ale czułam jego obecność.

– Ale kto był? – zapytałam z przerażeniem.

– Simon...

Spojrzała na mnie tak, jak nie patrzyła nigdy wcześniej. Nawet w chwili, gdy dowiedziała się o śmierci najbliższych

jej osób, nie pokazywała aż takich emocji. Czasem dziwiło mnie, dlaczego jest aż tak spokojna. Może to właśnie był powód jej depresji? Nigdy nie miała możliwości, aby się wykrzyknąć, rozplakać do utraty tchu. Jednak to, co wydarzyło się tego dnia, zaskoczyło mnie bardzo. Nie mogłam powiedzieć, że to wyobraźnia płata jej figle. Nie mogłam jej tego zrobić. Musiałam udawać, że wierzę w jej słowa, choć bardziej byłam pewna, że to jakiś rodzaj schizofrenii. Może tak bardzo chciała zobaczyć Simona, że sobie go wymyśliła?

– Alice, jaką masz pewność, że to był Simon?

– Lucky... ona nagle zerwała się z łóżka, stanęła na równych nogach i piszczała.

– To jest pies, czasem zdarza mu się piszczeć. Może Lucky chciała siusiu bądź usłyszała tych imprezowiczów w lesie?

– Nie. Lucky piszczała inaczej. Zawsze zachowywała się tak, kiedy Simon wracał do domu. Dlatego wiedziałam, że on i Daniel już są blisko. I tym razem było dokładnie tak, jak kiedyś. Musisz mi uwierzyć!

– Kochanie wierzę ci. Oczywiście, że ci wierzę... – kłamałam.

– Kiedy Lucky zaczęła skomleć poderwałam się i usiadłam na łóżku. Ona patrzyła w jedno miejsce, jakby coś tam było. Machała ogonkiem. I stało się coś dziwnego.

– Co takiego? – zapytałam.

– Na moje łóżko spadło piórko. Widzisz? – Alice wyciągnęła pięść w moją stronę. Kiedy otworzyła dłoń, zobaczyłam w niej białe jak śnieg pióro.

– Jak ono się tu znalazło?

– Nie wiem, Mio. U nas w domu nie ma nic z pierza. Nawet poduszki i kołdry mają syntetyczne wypełnienie. Wiesz, że Daniel był uczulony na naturalne pierze. Nie mogliśmy sobie pozwolić, aby mieć takie rzeczy.

– Rzeczywiście to bardzo dziwne... – odparłam.

– Tu był Simon. Czułam go. Jego zapach, taki sam jak po kąpielu, kiedy smarowałam go oliwką. Mio, ja nie zwariowałam. Nie wymyśliłam sobie tego. Wierzysz mi, prawda? – Alice patrzyła w moje oczy, milcząc, błagając o zrozumienie. Potrzebowała zapewnienia, że to, co podobno widziała, było prawdą. Kłamałam, w nadziei, że to może jej w jakikolwiek sposób pomóc.

Przytuliłam ją tak, jak tylko umiałam najlepiej. Wiedziała, że to nie jest ten sam uścisk, który daje matce dziecko i żonie mąż. Ale czasem człowiek potrzebuje zwykłego gestu, który w jednej chwili staje się najbardziej niezwykłym doświadczeniem.

– Alice, skoro już wstałaś z łóżka, to chodź ze mną do łazienki. Pomogę ci wziąć prysznic. Od wielu tygodni przecierałam cię tylko mokrym ręcznikiem. Bez twojej pomocy nie dam rady cię zanieść do łazienki – powiedziałam niepewnie.

– Wybacz mi... Wybacz moją ułomność, Mio... – Alice już sama od siebie rzuciła mi się na szyję. Przez spoconą pizamę poczułam jej twardy kręgosłup.

Zaczęła mówić, a ja poczułam radość w sercu. Złapałam Alice pod rękę, bo była zbyt słaba na samodzielne stawianie kroków. Szła powoli, niepewnie. Co jakiś czas

miałam wrażenie, że mdleje. Usiadła na ubikacji. Już nie musiałam podkładać jej pod pupę miski, żeby się wypróżniła. Kiedy wanna była pełna wody i piany, pomogłam zdjąć jej koszulę. Wychudzone ciało, obwisłe piersi i przezroczysta skóra przyprawiły mnie o mdłości. Alice wyglądała jak dziewczyny ze zdjęć w reportażach o anoreksji. Spojrzała na siebie w wielkim lustrze, dotknęła twarzy i wąskich bioder.

– Zobacz, Mio... Mnie już prawie nie ma. Spójrz na moje ciało. Jezu drogi, dlaczego mi to uczyniłeś? ...

Nie odpowiedziałam nic. W końcu nie wierzyłam w Boga i nie znałam odpowiedzi na to pytanie. Pomogłam Alice wejść do wanny i bardzo delikatnie zwilżałam gąbką jej ciało. Bałam się, że kiedy wykonam mocniejszy ruch, połamię jej kości.

– Nie boli cię, kiedy dotykam pleców? – zapytałam.

– Trochę, ale wytrzymam. To odleżyny, prawda?

– Skóra jest popękana, ale nie wygląda tragicznie. Chociaż myślę, że gdybyś tak poleżała jeszcze z miesiąc, to miałabym niezły problem.

W rzeczywistości było gorzej, niż przedstawiłam to Alice. W niektórych miejscach z ran wydobywała się wydzielina, jakby ropa napływała pod skórą. Najgorzej było z lewym pośladkiem. Wyglądał jak kość owinięta samą skórą. Był wychudzony i wąty, z raną wielkości dłoni na środku. Codziennie smarowałam te miejsca maścią od doktora Shuberta, lecz nie zdawałam sobie sprawy z powagi sytuacji.

– Obetnij mi włosy... – Alice złapała mnie za rękę.

– Masz piękne włosy. Nie mogę ich obciąć.

– Obetnij, proszę. Będzie łatwiej je pielęgnować. Spójrz na nie, są brudne i zmęczone, tak jak ja.

– Jesteś tego pewna?

– Tak, Mio, jestem pewna.

Po kąpieli złapałam nożyczki i ze łzami w oczach, kępka po kępce, ścięłam loki mojej bratowej. Rzeczywiście włosy były w tragicznym stanie. Delikatnie starałam się rozczesać kołtuny, aby nie sprawić Alice bólu. Patrzyłam, jak pukle spadają na pomarańczowe kafelki.

– Teraz włosy sięgają do brody. Wystarczy? – zapytałam niepewnie.

– Tak, wystarczy. Myślisz, że spodobam się Simonowi?

– Jesteś jego mamą. Dla niego zawsze będziesz najpiękniejsza. Nie ważne czy masz krótkie czy długie włosy.

– Dziękuję...

– Za co?

– Za wszystko. Za to, że byłaś tutaj cały czas, za siłę, której mi zabrakło. Dziękuję za kąpiel, za usługę fryzjerską, za posmarowanie ran na ciele.

– Mam tylko ciebie Alice. To, że tutaj jestem, wcale nie oznacza mojej siły. Ja zwyczajnie już nie mam gdzie pójść. A kiedy nie ma się gdzie pójść, to wraca się do domu, do rodziny. Teraz ty nią jesteś.

Nie wiem, co dokładnie wydarzyło się tamtego dnia, ale cokolwiek to było – było po coś i z jakiegoś powodu.

ROZDZIAŁ III

Przez kilka dni Alice starała się pozbierać, potem znowu wpadła w agonię. To była swego rodzaju agonia uczuć... Na szczęście przez jakiś czas zjadała regularnie posiłki, może nie tak duże jakbym chciała, ale mimo wszystko coś trafiało do jej żołądka. Zmniejszyło to mój strach, kiedy znowu przestała jeść. Pewnego ranka zwyczajnie się nie podniosła, nie odpowiadała na pytania, zamykała oczy, udając, że śpi. Wiedziałam, że ból powraca, dlatego pozwoliłam jej go czuć, nie odrywałam od tego, co nieuniknione. Tak sugerował doktor Shubert – nie ingerować w to, na co nie mamy wpływu. Potwierdziło to moje przypuszczenia, że pojawienie się urojonego Simona to efekt bardzo silnej depresji i szoku, i że to może powracać. Nie zastanawiałam się nad pojawieniem pióra. Uznałam to za zwykły zbieg okoliczności. Chciałam wykorzystać chwilowe powroty do normalności. Nawet jeśli ograniczały się do tego, żeby znowu ją wykąpać, nakarmić. Czekałam, aż pewnego dnia Alice wstanie z łóżka, zrobi jajecznicę, zapali znicz na cmentarzu i powie, że wszystko wraca do normy...

– Nie myślałaś o jakimś ośrodku? – zapytał doktor Shubert podczas wizyty domowej u Alice.

– Ośrodku? Ale po co? – odparłam z oburzeniem.

– Alice będzie tam pod dobrą opieką, przede wszystkim zajmą się nią lekarze, a ty będziesz mogła odpocząć, Mio.

– Ale ja nie czuję się zmęczona doktorze. Poza tym, nie wyobrażam sobie, aby Alice leżała w jakimś szpitalu zamiast u siebie w domu. Ona nie jest chora. Ona się zwyczajnie pogubiła.

– Mio, Alice jest chora. Ma silną depresję. Możesz sobie z tym nie poradzić. Co, jeśli pewnej nocy zrobi sobie krzywdę? – zapytał lekarz.

– A w ośrodku nie zrobi? Lekarze będą przy niej dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Nie. Nie są w stanie być przy niej cały czas. Są też inni pacjenci.

– No właśnie. Nie są w stanie jej uchronić. Nikt nie jest w stanie. Nie oddam Alice! Mój brat nigdy by mi tego nie wybaczył...

– Ale Daniela tutaj nie ma.

– Daniela nie ma. Ale ja nadal jestem...

Cały dzień myślałam o rozmowie z doktorem Shubertem. Nie miałam do niego żalu, chciał dobrze zarówno dla mnie, jak i Alice. Ale coś w środku mnie podpowiadało, że on nie ma racji. Czułam, że już niedługo wszystko się zmieni, że moja bratowa wyzdrowieje. Nie wiedziałam tylko jeszcze, w jaki sposób mam jej pomóc i co powinnam zrobić. Jakby wewnątrz mnie przemawiał Daniel, który rzeźbił w moim sercu litera po literce: „zostań”.

To był bardzo intensywny dzień, pełen emocji i kłótni samej ze sobą. Marzyłam jedynie o błogim śnie, który dawał kilkugodzinne ukojenie. Jednak moje marzenie zagłuszył dźwięk dochodzący z pobliskiego lasu, dokładnie taki sam jak kilka tygodni temu, kilka dni temu i ostatniej nocy również. Byłam pewna, że to grupka młodzieży organizuje imprezy, za każdym razem testując naszą wytrzymałość. Mała Lucy podbiegła do drzwi balkonowych skierowanych właśnie w kierunku tego lasu. Warczała i wcale nie merdała radośnie ogonkiem. Weszłam na piętro i otworzyłam gabinet Daniela, żeby z góry zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Pokój mojego brata nadal pachniał jego perfumami. Daniel od wielu lat używał takiego samego zapachu. Na biurku leżał stos papierów, jakby ktoś dopiero przed chwilą je tutaj zostawił. Alice zawsze denerwowała się z powodu bałaganu, a Daniel z uśmiechem na twarzy powtarzał, że tylko w takim położeniu jest w stanie cokolwiek znaleźć.

Wyrzałam przez duże okno, lecz było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Kiedy już miałam odejść od okna, nagle, ku mojemu zdziwieniu, zauważyłam, że tuż obok płotu pojawił się cień. Wszystko wskazywało na to, że był tam człowiek. Wytężyłam wzrok, aby wykluczyć, że jest to sarna lub jeleni – zwierzęta te lubiły podchodzić pod domostwo szczególnie latem i zimą. Zyskałam jednak pewność, że to na pewno nie było zwierzę. Zarys postaci wskazywał na osobę dość postawną, więc byłam

pewna, że to mężczyzna. Szybkim ruchem otworzyłam okno, a następnie zawołałam:

– Halo! Jest tam ktoś? Mogę w czymś pomóc?

Lecz postać szybko uciekła w stronę lasu. A może to złodziej, który wie, że mieszkają tu dwie samotne kobiety? Ogarnął mnie strach, lecz zdecydowałam nic nie mówić Alice, żeby jej nie zdenerwować. Przez dwadzieścia minut spoglądałam przez szybę, wypatrując złodziejaszka. Daremnie, bo tej nocy nie pojawił się już ani razu.

Nastał ranek. Włożyłam na siebie ciepły sweter i poszłam wraz z Lucky w stronę miejsca, w którym stał ten człowiek. Psina wyczuła jakiś zapach, bo przez cały czas wąchała noskiem płot i jabłoń, która rosła tuż obok. Nie zauważyłam nic niepokojącego, prócz oberwanych liści i braku jabłek od strony lasu. Ulżyło mi. Widocznie złodziej zadowala się tylko niezbyt dojrzałymi owocami, które w smaku przypominają raczej kwaśną gąbkę. Nie łatwiej zapukać i zapytać o pozwolenie na zerwanie jabłek? Po co kraść i narażać swoją reputację? No chyba, że to jakiś bezdomny i jest mu zwyczajnie wstyd. Jeśli rzeczywiście jest głodny, to niech sobie zrywa owoce. Oby tylko nie połamał ogrodzenia i nie robił hałasu. Postanowiłam sprawdzić, kim jest tajemniczy gość. Tego samego dnia postawiłam przy płocie koszyk z jedzeniem. Nic wielkiego – kilka kromek chleba, kawałek kiełbasy, ser żółty i butelka świeżej wody. Jeśli jest to bezdomny, to zje ze smakiem i niech mu wyjdzie na zdrowie. Złodziej nie ruszy koszyka, nie zauważy nawet prezentu. Będzie szukał

dziury, wtargnie na posesję i obmyśli plan ograbienia niewinnych ludzi. Odwróciłam głowę w stronę okna pokoju Alice, przez moment wydawało mi się, że bratowa stoi i mnie obserwuje. Lecz kiedy weszłam do jej sypialni, leżała w łóżku nieruchomo, kolejny raz udając, że śpi. Już miałam wychodzić, kiedy usłyszałam:

– Nie zakwitła...

– Co nie zakwitło, Alice? – zapytałam radosna, że przemówiła.

– Wiśnia... W tym roku nie zakwitła... Mówiłam Danielowi, że usycha, że trzeba jej nawozu. Nie posłuchał mnie. Nie wydała owoców.

– Masz rację, coś z tą wiśnią jest nie tak. Można coś jeszcze zrobić? – zagadywałam, szukając sposobu na podtrzymanie rozmowy.

– Jeśli drzewo nie zakwitło i nie wydało plonów, to można zrobić dwie rzeczy...

– Jakie? – kontynuowałam.

– Można wyciąć wiśnię.

– A ten drugi sposób?

– Czekać. Nie zawsze coś co z wierzchu wydaje się martwe, umarło.

– Tak jak ty Alice? ...

– Z drzewem jest prościej. Drzewo nie czuje, ono ma nam służyć. Nie pokazuje emocji, nie przeżywa, nie składa myśli. Nie od niego zależy, czy przetrwa, mimo że jest silne. Z ludźmi jest gorzej. Ludzie mogą udawać. Uśmiechać się i pokazywać, że wszystko jest dobrze. W środku jednak gniją i jedyny plon, który wydają to żal i nienawiść.

Albo zupełnie odwrotnie – aby nie czuć żalu i nienawiści, zamykają się na cały świat. Taka regeneracja. Czasem działa. Później ich plon jest obfity i karmi setki innych osobników tym, co najlepsze.

– A jak jest z tobą, Alice? Którą wersją człowieka jesteś?

– Jestem tą, która czeka, aż ją ktoś nakarmi...

Każdego dnia uczyłam się od niej nowych rzeczy. Bez względu na to, czy żyła w świecie realnym czy też w zamkniętym świecie swojego umysłu. Uczyła mnie, choć nie była tego świadoma, a mi w tamtym momencie trudno się było do tego przyznać. Uczyła mnie cierpliwości, której potrzebowałam, aby pomóc jej się wypróżnić. Uczyła siły, kiedy po kilka razy dziennie podnosiłam jej ciało – trzy razy nieudolnie, żeby za czwartym wreszcie osiągnąć sukces. Ale przede wszystkim nauczyła mnie kochać. Bezinteresownie. Kochałam ją jak siostrę, o której zawsze marzyłam. Kochałam tak mocno, że gdyby stanął przede mną kat i kazał wybierać, kogo ma oszczędzić – bez zastanowienia oddałabym swoje życie za jej zdrowie. Lecz niestety ten kat nie dawał mi prawa wyboru...

– Może coś zjesz? – zapytałam Alice, licząc, że wraca do żywych.

– Nie jestem głodna. Tylko trochę kręci mi się w głowie, więc chyba powinnam. Simon dziś w nocy powiedział, że...

– Simon? – przerwałam jej, nie ukrywając zdziwienia.

– Tak, Simon. Chyba mi się śnił. Tak, to na pewno był sen. Tylko bardzo realny.

– Co dokładnie ci się śniło?

– Stał tutaj, obok stolika nocnego. Miał na sobie białe, lniane spodenki i taką samą bluzkę. Wyglądał jak prawdziwy Aniołek. Pogłaskał mnie po głowie i powiedział, że wszystko będzie dobrze i że bym się nie martwiła, bo on i tata są bezpieczni. Są szczęśliwi. Tylko smutno im bardzo, że tutaj u nas na ziemi tak wszystko krwią ocieka i łzami...

– Mówił coś jeszcze? – nie wiedziałam, czy pytam z ciekawości czy ze strachu przed tym, co mówi Alice.

– Tak. Powiedział, że tam jest mnóstwo ludzi, którzy się opiekują nim i Danielem. I że Bóg istnieje naprawdę, więc nie mam powodu do płaczu. Tylko wiesz, Mio... Simon powiedział jeszcze coś. To było bardzo dziwne...

– Co takiego?

– Sama nie wiem, czy dobrze zapamiętałam...

– Więc powiedz tylko to, co pamiętasz kochanie.

– Powiedział, że przez cały czas ty się mną zajmowałeś, a teraz ktoś musi zaopiekować się nami obiema. Więc zapytałam, czy on będzie się nami opiekował. Powiedział, że nie może. Tam jest teraz jego miejsce...

– Więc kogo miał na myśli?

– Nie wiem. Nie pamiętam jego ostatnich słów. Wypowiedział je, kiedy odwrócił głowę w stronę lasu, wyciągnął tam swój małeńki paluszek i zniknął...

Wsluchiwałam się w jej słowa i wierzyłam, że mogło się to przyśnić, lecz trudniej było mi uwierzyć, że ten sen miał jakiegokolwiek znaczenie. Przecież zmarli nie mogą ot tak zejść na ziemię. Jednak musiałam pogodzić moje uczucia z tym, jak powinnam zachowywać się w obecności Alice.

Takie sytuacje zaczęły się powtarzać coraz częściej. Każdego ranka siadała na łóżku i opowiadała, że Simon przychodzi, że daje jej znaki. Nawet w ciągu dnia wołała mnie, pokazywała kolejne urojone dowody na istnienie Simona wśród nas. Staralam się nie mówić czegoś, czego nie chciałaby usłyszeć, pilnowalam każdego wypowiedzianego słowa. Czasem miałam ochotę wybuchnąć i wykrzyknąć jej, że Simon nie żyje i już nie wróci, że powinna iść do specjalisty, a te jej urojenia są tylko dowodem postępującej choroby. Ale nie mogłam tego zrobić. Widziałam, że dzięki temu, co się działo, Alice robi postępy. Czasem sama chodziła do łazienki, kąpała się, raz nawet poprosiła o kubek gorącego kakao. A ja byłam jej spowiednikiem, wiernym słuchaczem od rana do późnej nocy. Wstawałam, jadłam, kąpałam się, korzystałam z WC, robiłam szybkie zakupy. Moment, kiedy mogłam pooddychać świeżym powietrzem i choć na chwilę się zatrzymać był wtedy, gdy zanosłam pod płot kolejne koszyki z jedzeniem. Zawsze zawartość znikała. To było nawet miłe, że głodny człowiek może się nasycić i uratuje go to przed śmiercią. Szkoda tylko, że był człowiekiem widmo – nie znałam jego imienia, nie wiedziałam, jak wygląda i gdzie przebywa. W sumie nawet nie bardzo mnie to interesowało. Dzięki niemu i Alice czułam się potrzebna...

Skoro umarłeś, a ja nadal żyję, to czy istnieje coś pomiędzy?

Twoja Mia

Śnieg... wyjątkowo szybko spadł w tym roku. Drzewa wyglądały jak panny młode. Sople na dachu sprawiały, że sceneria przypominała tę z filmu *Królowa śniegu*. Lucky podczas zabawy na podwórku była wręcz nie do znalezienia. Obudziłam się rano z zamiarem zabrania pustego koszyka spod płotu. Lecz kiedy otworzyłam drzwi wyjściowe, nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Całe wejście do domu oraz ścieżki prowadzące do furtki były odśnieżone i posypane piaskiem, sople z dachu strącono, a jabłoń i wiśnię przykryto workami jutowymi, które miały zabezpieczać rośliny przed zamarznięciem. Rozejrzałam się dookoła, jakbym wyczekiwała osoby, która przyjdzie się przywitać po ukończeniu pracy, bym mogła z sercem na dłoni podziękować za wspaniały gest. Jednak nikogo nie ujrzałam. Tylko ślady butów odbite

na śniegu, które prowadziły do lasu. Koszyk jak zawsze był pusty.

– Alice, nie uwierzysz, co się wydarzyło! – krzyknęłam podniecona, wchodząc do pokoju bratowej. Nie zdążyłam jednak podzielić się z nią żadną informacją. Jej ciało leżało na ziemi nieruchomo.

Wezwałałam doktora Shuberta, który natychmiast pojawił się w naszym domu.

– Wybacz, Mio... Muszę ją zabrać na obserwację. Nie jest dobrze. Jest wychudzona, najprawdopodobniej ma anemię.

– Nie! Ona musi zostać tutaj! Daniel mi nigdy nie wybaczy, jeśli pozwolę ją zabrać!

– Mia! Daniel nie żyje! Jeśli Alice tutaj zostanie, to niedługo dołączy do swojego męża! Chcesz tego?!

Właśnie tego dnia, w tym momencie, dotarło do mnie, dlaczego Alice była w takim stanie... Nie chciałam, żeby umarła. To ona tego chciała. Wiedziała, że jeśli przestanie jeść i normalnie egzystować, to prędzej czy później jej serce nie wytrzyma. Bała się popełnić samobójstwo, bała się stanąć ze śmiercią twarzą w twarz, więc robiła to stopniowo i tak, żeby nie bolało. Byłam głupia, że wcześniej tego nie zauważyłam... *Jestem tą, która czeka aż ją ktoś nakarmi...* – tak powiedziała Alice kilka miesięcy temu. Nie rozumiałam tych słów, ale teraz wiem, co miała na myśli. Jedynymi osobami, które mogły ją uratować byli Daniel i Simon. A jej czekanie nie oznaczało czekania na poprawę. Jej czekanie oznaczało przywitanie się ze śmiercią i dwojgiem najważniejszych ludzi.

Mijały kolejne dni bez Alice. Codziennie odwiedzałam ją w szpitalu, siedziałam przy jej łóżku, wpatrywałam się w zamknięte powieki. Podłączona do kroplówek, które miały zastąpić jej pokarm, nie miała już na nic wpływu. Za małym okienkiem siedziały pielęgniarki, które całą dobę monitorowały jej stan. Podobno według wyników z dnia na dzień było coraz lepiej, ale dla mnie to nie były dobre wiadomości. Chciałam, żeby Alice zapragnęła żyć na nowo, znalazła cel. I im bardziej chciałam jej to dać, tym bardziej nie wiedziałam jak. Na szczęście nie musiałam martwić się o dom. Miał cichego opiekuna – codziennie odśnieżone ścieżki, drewno do kominika i koszyk na jedzenie przyniesione pod same drzwi. Przynajmniej wiedziałam, że za tą dobrocią stoi bezdomny stróż lasu i naszego domu. Kiedy wracałam do Lucky, witała mnie tak, jak tylko ona potrafiła – radośnie i z wielką, prawdziwą tęsknotą. Pomimo braku Alice u mojego boku wiedziałam, że nie jestem sama. Miałam Szczęściarę i jego.

Tego dnia wyjątkowo intensywnie sypał śnieg. Nie mogłam odpalić samochodu, a nawet gdybym go odpaliła, to całe miasteczko i tak było sparaliżowane. Postanowiłam nie jechać do szpitala, tylko wykorzystać ten dzień na uporządkowanie wszystkiego dookoła mnie. Lucky była wyjątkowo niespokojna, więc – zanim przystąpiłam do zaplanowanych prac – wyszłam z nią na krótki spacer wokół domu. Psina wyrwała się przede mną i pobiegła w stronę otwartej furtki. Zniknęła w głębi lasu.

– Lucky! Wracaj! Słyszysz? – wołałam bezskutecznie.

Ubrałam ciepły płaszcz i podążyłam za maleńkimi śladami niesfornego urwisa. Nigdy wcześniej nie byłam w tym lesie, mimo że kochałam przyrodę i miałam ją tuż pod nosem. Starłam się nie zbaczać ze ścieżek, żeby bez problemu wrócić do domu. Nagle ślady zostawione przez małą sunię urwały się. Wpadłam w panikę. Pierwszą myślą, jaka mi przyszła do głowy, było: Co ja powiem Alice? Wołałam z całych sił, krzyczałam i prosiłam, żeby dała znak, że jest blisko. Po kilku chwilach usłyszałam w oddali szczekanie. Biegłam przed siebie, nie patrząc już na ścieżkę. Miałam tylko jeden cel – odnaleźć Szczęściarę.

– Tu jesteś! Wszędzie cię szukałam! Nie uciekaj mi nigdy więcej. Wiesz, ile się najadłam strachu? – krzyczałam, dobiegając do suczki. Jednak zanim wzięłam ją na rękę, zobaczyłam w oddali coś, co bardzo mnie zainteresowało. Był to swego rodzaju szałas, który trochę przypominał mi domek bobrów – taki sam widziałam kiedyś u moich dziadków, którzy mieszkali na wsi, tuż obok wielkiej rzeki. A może było to niewielkie wzniesienie pokryte gałązkami, które ktoś bardzo skrupulatnie ułożył? Całe zafascynowanie minęło, kiedy zorientowałam się, że nie wiem, gdzie jestem. Nie miałam przy sobie telefonu ani niczego, co mogłoby pomóc w odnalezieniu drogi. Włożyłam maleńką Lucky pod pachę i zaczęłam kierować się w stronę, z której – jak mi się wydawało – przybyłam. Pogoda nie dopisywała. Zerwał się wiatr, który strącał z drzew tyle śniegu, że nie widziałam, co znajduje się przede mną ani obok mnie. Mróz, strach i odmrożone dłonie powodowały, że powoli opadałam z sił. Czułam tylko

intensywnie bijące serduszko małej suczki i jej dreszcze, być może ze strachu i niepewności. Trudno było określić, ile czasu minęło od momentu wyjścia z domu, miałam wrażenie, że całe wieki. Szłam, powtarzając sobie, że kiedyś ten las się skończy i wyjdę z niego. Nie ważne gdzie, ważne, że wyjdę. Wypatrywałam cywilizacji, ale z każdym kolejnym krokiem moje instynkty zanikały, przestałam czuć zimno i niepokój. Zupełnie jak w *Dziewczynce z zapalkami*, którą opowiadała mi babcia. Tam tuż przed śmiercią wszystko minęło i nastał spokój i przyjemne ciepło. Ale to była tylko opowieść. Nigdy nie przypuszczałam, że pewnego dnia może spotkać to właśnie mnie. Przecież fikcyjne postaci nie istnieją, a ich losy nie mają wpływu na nasze życie realne, niemożliwe jest, byśmy doświadczyli tego, co oni – tak myślałam jako dziecko i z takim rozumowaniem dorastałam. Jednak tego dnia to nie była baśń, tylko moje życie, a bohaterką nie była obca mi dziewczynka, tylko ja. Ostatnim obrazem, który zapamiętałam, był moment, kiedy upadłam na kolana i podniosłam głowę ku niebu.

– Danielu... Pomóż... – powiedziałam. Więcej nic nie pamiętam.

*

Obudził mnie czyjś delikatny dotyk. Kiedy poczułam na twarzy muśnięcie, szybko otworzyłam oczy i ujrzałam Szczęściarę, która zamachała ogonkiem na widok mojego zmartwychwstania. Miałam chwilową amnezję,

nie wiedziałam, gdzie jestem, co się wydarzyło i jaki mamy dzień tygodnia. Doprowadziło mnie to do paraliżu, bałam się podnieść, bo nie wiedziałam, co mnie czeka. Na szczęście stary zegar – który nie spodobał się Alice – rozjaśnił mój umysł. Leżałam w niewielkiej szopie, którą Daniel wybudował, zanim jeszcze wykończył dom. Lubił tu przesiadywać w weekendy, majsterkował, wycinał figurki z drewna, robił karmniki dla ptaków. Byłam już pewna, że to jest to miejsce. Tylko jak się tu znalazłam? Czy dotarłam sama, tego nie pamiętam? A może ktoś mi w tym pomógł? Postanowiłam przeanalizować to później. Najważniejsza była gorąca kąpiel, ciepłe kakao i leki na grypę (tak zapobiegawczo). Otworzyłam drzwi szopy z przekonaniem, że przywita mnie słońce. Zastałam jednak wielki księżyc na bezchmurnym niebie.

– Która jest godzina? – zapytałam Lucky, a ona, zamiast odpowiedzieć, podbiegła do drzwi.

Zegar właśnie wybił osiemnastą trzydzieści. Nic więc dziwnego, że ciemność opanowała miasteczko. Sunia w bardzo szybkim tempie zjadła karmę i pierwszy raz – zamiast wybrzydzać i cofać się od miski kilkanaście razy – nie odeszła, póki nie wylizała najmniejszego okruszka. Z talerzem zupy w rękach usiadłam wygodnie w fotelu Daniela. Dotarło do mnie, co takiego się wydarzyło. Miałam miliony pytań, a jedno z najważniejszych dotyczyło tego, w jaki sposób się tu dostałam. Nie pamiętałam nic oprócz wołania o pomoc. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, jestem tutaj. Bezpieczna. Już nic mi nie grozi...

– Lucky! Przestań szczekać! Co tam zauważyłaś? – zapytałam psinę, która ujadła głośno.

Podeszłam do okna i na podwórku zobaczyłam postać, która niosła coś w rękach. Nie zastanawiając się ani chwili, wybiegłam z domu i zapaliłam światło na werandzie. Postać stanęła jak wryta.

– Dobry wieczór. Kim jesteś? Czego szukasz? Czy to ty jesteś tym, który nam pomaga? – pytałam, nie otrzymując odpowiedzi. – Nie bój się mnie. Nie chcę zrobić ci krzywdy. Chcę tylko podziękować. Jak masz na imię?

Nieznajomy stał odwrócony plecami, nie wypowiedział ani słowa. Byłam zbyt zmęczona, aby czuć strach przed nieznanym. Poza tym jeśli to on pomógł mi dostać się do domu, to czemu właśnie teraz miałby odebrać mi życie? Podeszłam bliżej. Bardzo powoli, żeby go nie wystraszyć.

– Nie zrobię ci krzywdy. Obiecuję. Możesz mi chociaż wyjawić swoje imię? Ja jestem Mia...

Postać zrobiła dwa kroki do przodu, jakby chciała uciec, ale jednocześnie zostać. Wyglądała jak spłoszone zwierzątko, które nie potrafi żyć między ludźmi. Była wielka, naprawdę wielka jak na człowieka. Ponad dwa metry wzrostu, potężna postura – niejedną osobę mogłaby wystraszyć. Ja się jednak nie bałam. Ciekawość była silniejsza. Postanowiłam nie zmarnować okazji na poznanie tego człowieka. Stałam tuż za jego plecami, bezbronna i coraz bardziej zmarznięta. Miałam na sobie tylko koszulę nocną i ciepłe kapcie. Śnieg obsypywał moje wychłodzone ciało, co przyprawiało mnie o niesamowite dreszcze.

- Nie odejdę, jeśli ze mną nie porozmawiasz. Jest mi zimno i zaraz zemdleję. Tak jak w tym lesie, znowu będziesz musiał mnie dźwigać i nieść do domu. To ty pomogłeś mi i Lucky, prawda? Wiem, że to ty, bo pies nie szczeka na ciebie jak na obcego, tylko wacha twój płaszcz. Jest ci wdzięczny, tak samo jak ja. Teraz ryzykuję swoje życie jeszcze bardziej niż kilka godzin temu. Ale warto tak ryzykować, aby poznać twoje imię...

Na te słowa mężczyzna wyprostował skulone plecy i powoli odwrócił się w moją stronę. Światło lampy zaczęło oświetlać jego twarz. Kiedy ujrzałam go w całości, zaczęłam wątpić, czy widzę człowieka. Upadłam na ziemię ze strachu, oddech przyspieszył, a ciało odmawiało posłuszeństwa. Czy ja śnię? – pomyślałam, modląc się o przebudzenie. A On stał nieruchomo. Patrzył na mnie swoimi pokaleczonymi oczami. I pewnie mój stan osłupienia trwałby nadal, gdybym nie ujrzała w świetle lampy białego piórka – dokładnie takiego samego jak to, które trzymała Alice, gdy przekonywała mnie, że Simon jest w naszym domu. Białe cudo delikatnie opadło pod stopy nieznanego.

- Nie wiem, kto z nas boi się bardziej. Ale jeśli ci obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy, czy ty uczynisz to samo? – zapytałam niepewnie.

- Kai... - wymamrotał.

- Słucham? Nie słyszałam dobrze. Możesz powtórzyć?

- Kai... Mam na imię Kai...